Światło

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 21-go Stycznia 1897. Nr. 3.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Figiel aktorów.

Do pewnej oberzy w Frankfurcie zajeżdżało dużo podróżnych. Można tam było i dobrze się przespać i dobrze zjeść i wypić a gospodarz nie kazał sobie za wiele płacić.

Na początku Lutego jednego roku zajechało też tam dwóch aktorów czyli takich ludzi, którzy w teatrze występują, poprzebierani co raz to inaczej. Byli to wielcy figlarze a tem bardziej do płatania figli sposobni wtedy, gdy czuli pieniędzy w kieszeni. Teraz właśnie mieli sporo grosza, a więc i myśl ich była swobodna.

Jeden z nich miał mieszkanie na dole, drugi u góry. Oprócz nich oczywiście mieszkało jeszcze wielu innych podróżnych tak na dole, jak u góry.

Przybywszy dość późno do oberzy, zaraz udali się na spoczynek, lecz przedtem coś ze sobą mówili, jakby się naradzając względem czegoś.

Na drugi dzień rano powstali dość rychło z łóżek i ten, który mieszkał na dole, przyszedł do towarzysza u góry mieszkającego.

Po chwili wyszedł z tej samej izby golibroda z torebką pod pachą, w której miał brzytwy, mydło i wszystko co do golenia potrzeba. Widocznie taki tu był zwyczaj, że golibroda rano od izby do izby chodził i podróżnych golił.

Zapukał też zaraz do następnych drzwi.

— Nie potrzeba golibrody? — zapytał.

— Owszem — odezwał się głos.

Golibroda wszedł, a widać bardzo był biegły w swoim zawodzie, bo ani dwóch minut nie trwało a już znów wyszedł i do dalszych drzwi pukał.

Krótko przedtem z izby aktora wyszedł drugi golibroda, i zeszedłszy na dół, zaczął chodzić od drzwi do drzwi, a widać co do zręczności nie ustępował swemu towarzyszowi, gdyż i on nadzwyczajnie szybko z pokoju do pokoju przechodził.

Po kilkunastu minutach obszedł górny trzynastu, a dolny dziesięciu podróżnych i znów wrócili do izb zamieszkałych przez aktorów.

Wtem zaczęły się drzwi otwierać od izb na dole i u góry i posłyszano wołanie: No, jakże tam? Golibrodo, gdzie siedzicie? Hej, hej, spieszcie się!

W izbach było słychać zniecierpliwione głosy podróżnych, a najgłośniejsze krzyki wydobywały się z izb przez aktorów zajętych.

Nakoniec zaczęli podróżni u góry i i na dole wychodzić do sieni i krzyczeć. Obaj aktorzy wrzeszczeli najmocniej. Zrobił się straszny zamęt, krzyk, zbiegowisko.

Gospodarz i cała służba zlecieli się oglądać, co się stało. Ale cóż zobaczyli?

Oto trzynastu podróżnych u góry, a dziesięciu na dole stało w sieni, a wszyscy mieli namydlone brody, jak to golibroda namydla brodę przed ogoleniem. Widok ten był tak śmieszny, że wszyscy nienamydleni za brzuch się trzymali od śmiechu, co do tem większego gniewu pobudzało namydlonych. Wrzeszczeli tak mocno, że aż przechodnie na ulicy stawali.

— Co to znaczy? — pyta gospodarz.

— Co znaczy? — odpowiedział na to jeden z aktorów — to znaczy, że golibroda waszej oberzy zażartował sobie z nas wszystkich. Przyszedł on do mnie i skoro mnie namydlił, powiedział, iż brzytwy w izbie innego podróżnego zapomniał, ale zaraz ją przyniesie. Jak poszedł, tak już się więcej nie pokazał.

— Ten łotr! Ten opryszek! Gdybym go tu miał! — tak wołali inni podróżni. Nam tak samo zrobił i tak samo powiedział.

— A nam na dole tak samo się stało, — objaśnił ktoś z dołu.

Gospodarz posłał po golibrodę, który zazwyczaj podróżnych golić przychodził. Ten wnet przybiegł, lecz wszyscy podróżni oświadczyli, iż to był inny człowiek.

Cóż tu począć? Gniewać się, na nic się nie przyda, więc ostatecznie wszyscy się zaczęli śmiać z tej przygody i domyślać, ktoby to tego figla mógł wypłatać.

Wszędzie sprawcy szukali, tylko nie między podróżnymi. Tymczasem obaj aktorzy byli owymi golibrodami. Właśnie niedawno w pewnej sztuce teatralnej występowali jako golibrody i mieli przeto wszystko, czego do golenia potrzeba. Ale z tem się nie zdradzili i dopiero po ich odjeździe, znaleziono w izbie jednego z nich list z objaśnieniem, zaadresowany: »Do wszystkich namydlonych.«

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 21-go Stycznia 1897. Nr. 3.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent.) — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

DALEKO OD OJCZYZNY.

POWIEŚĆ.

I.

Bałwany srożącego się morza rozbiły okręt: jedna połowa jeszcze sterczała na powierzchni wody, druga już tonęła, — za chwilkę cały statek pogrąży się w otchłani.

Z brzaskiem jutrzenki, z wybrzeża wysp widniejących z dala, wysunęła się łódź jedna, potem druga, wreszcie z pośród mgły porannej wyłonił się cały szereg małych statków. Z początku walczyły one ze wzburzonem morzem, w miarę jednak jak się uciszało, płynęły spokojniej, wieszając się na fal krawędzi.

Łodzie otoczyły tonący okręt, a marynarze cisnęli się z dziką energią po rzuconym pomoście, chcąc się dostać do rozbitka.

— Stój! — zawołał donośnym głosem niepozorny człowiek, dowodzący przybyszami.

Na głos dowódcy marynarze gwałtowność swą powstrzymali, jak gdyby rozkaz zamienił ich nagle w posągi.

— Uery wedrze się do niezatopionej części okrętu. Na najwyższem piętrze może się jeszcze znajdować ktoś żywy; — zakomenderował kapitan.

Uery błysnął spojrzeniem, przebiegł pomost i ze zwinnością kota wdzierać się zaczął na maszt pochylony.

Cisza na łodziach zaległa, każdy widział niebezpieczeństwo, na jakie się Uery narażał.

Słońce rozgrzewało coraz więcej przepełnione wilgocią powietrze, promienie świeciły wprost w oczy, upał stawał się nieznośnym nawet dla przywykłych do żaru słonecznego; nikt jednak nie śmiał położyć się w łodzi, bo mały kapitan z założonemi rękami śledził kroki Uerego.

Wkrótce Uery znikł wśród ścian okrętu. Kapitan przykładał dalekowidz do oczu, kierując go na otwór, w którym ukrył się dzielny majtek, lecz szkła nie mogły przeniknąć ciemnego wnętrza.

Mijały chwile; na twarzy kapitana malowała się niecierpliwość.

— Jedna łódź zostanie w miejscu, dwie od strony wschodniej statku, reszta popłynie za mną; — rozkazał.

W mgnieniu oka lekkie wyspiarskie statki otoczyły rozbitą ścianę okrętu, na którą wszyscy spoglądali ciekawie.

— Ho! — krzyknął kilkakrotnie kapitan, przybliżywszy się pod samą ścianę.

Szum morza wtórował wołaniu, lecz nikt nie odpowiedział.

I znowu chwila milczenia.

Wreszcie z najwyższego szczytu, lina spuszczać się zaczęła powoli.

— Podpłynąć i przywiązać do liny sieć ratunkową z butelką araku! — zawołał kapitan.

Wioślarze spełnili rozkaz: spoglądali jednak z oskomą na arak, który chętnie byliby wlali w swe gardła.

— Uery! — krzyknął znowu kapitan.

Żadnej odpowiedzi; lina skracała się powoli, a jednocześnie rozległ się złowrogi skrzyp desek rozbitego okrętu.

Uerego widać nie było.

Wreszcie ujrzano linę, spuszczającą się z przywiązanym do niej ciężarem.

Morze kołysało się powoli, ludzie na łodziach patrzyli na linę w niemem oczekiwaniu; Uerego spostrzeżono na szczycie masztu. Najwyższy z wioślarzy odciął ciężar od liny, drugi uchwycił go i ugiął się pod jego brzemieniem.

Jednocześnie łoskot złowrogi doszedł uszu kapitana.

— Do wioseł! — zawołał; — Black tylko zostanie na pomoc Ueremu.

Plusnęły wiosła a zaledwie łódź się usunęła w przeciwną stronę, maszt runął... Black zdążył jednak odciąć linę, po której spuszczał się Uery, i wraz z nim rzucić się w morze, zostawiając na pastwę żywiołu łódź swoję.

Tymczasem łódź wielka płynęła spokojnie po pełnem morzu z wrzuconym do niej ciężarem, a ciężarem tym była kobieta i dziecię.

Kobieta nie dawała już prawie znaków życia; przyciskała jednak do piersi nawpół zesztywniałą dłonią małą dziewczynkę...

Dziecię i matka były bardzo wycieńczone i omdlałe. Dziewczynka, mogąca mieć lat sześć, trzymała się matki.

— Wlać jej w usta wina! — zawołał kapitan, wskazując na kobietę i odejmując z jej objęć dziecię.

— Niema ani kropli, — ozwał się majtek najbliżej stojący.

— Łżesz! — wrzasnął kapitan.

— Nie, kapitanie; wino z zapasami zostało w łodzi, która przed nami płynie.

Kapitan zgrzytnął zębami.

— Mam tutaj kropelkę; — ozwał się drugi wioślarz, siedzący spokojnie na ławie.

— Dawaj!

Młody wioślarz z za pasa bezpieczeństwa wyciągnął płaską butelkę, a ciemno-żółtawy jej płyn dowodził doskonałości gatunku.

— Po kropelce dostaję czasem od kupców przejezdnych; — tłumaczył się chłopak, patrząc z podełba na kapitana i podając mu butelkę.

Kapitan mimowoli się uśmiechnął, po kolorze bowiem poznał, że wino pochodziło z jego własnej piwnicy. Na ten raz przebaczył jednak zabiegliwemu wioślarzowi, gdyż kropla owego nektaru mogła ocalić życie rozbitkom. Złożywszy więc, na macie, we wnętrzu łodzi dziecię, otworzył zaciśnięte zęby leżącej bez zmysłów kobiecie, która tem tylko dawała znaki życia, że przyciskała rękę do piersi, jak gdyby jeszcze tuliła niemowlę.

Przez nawpół uchylone usta i siłą otworzone zęby, udało się wlać kilka kropel wina. Kobieta chwytała krople ożywczego płynu; poruszała wciąż ustami, dając tem znak, że pragnie jeszcze płynu.

Z nawpół odemkniętych usteczek dziewczynki sączyła się piana. Czerwone plamy, na zaklęsłych policzkach dziecka, świadczyły o gorączce głodowej. Kapitan zwilżył w winie chustkę i wycierał spieczone wargi dzieweczki, usuwając z nich resztki piany.

— Ta mała już pewnie nie żyje, a dałbym szyję, że nie czuje nawet zapachu tak wybornego wina; — ozwał się majtek, spoglądając na towarzysza, który oddał swoje wino. Ten kiwnął głową, a coś mruknąwszy, przypatrywał się dalej karmieniu dziecka z butelki.

Dziecię chwytało kroplę, a w miarę jak wchodziły one do żołądka, ustępowały krwiste plamy z policzków, oczęta się przymykały, główka opadała bezwładnie na ramię kapitana. Wino uśmierzyło na chwilę głodową gorączkę; dziecię zaczynało swobodniej oddychać, lecz matka jękami przerażała twarde serca żeglarzy...

Spoglądali ze współczuciem na kobietę, która rzucała się, wyciągała ręce przed siebie, przyciskała je do piersi, wykrzykując wyrazy, których nikt nie rozumiał. Otwarte oczy kobiety patrzyły błędnie dokoła, usta wysilone wykrzyknikami zamilkły, piersi tylko ciężkiem westchnieniem wznosiły się i opadały.

Wszyscy prawie zapomnieli, gdzie się znajdują, patrząc na umierającą.

— Dobywajcie sił, ażeby jak najprędzej przybić do brzegu! — zawołał kapitan, kładąc uśpioną dziewczynkę na macie, z troskliwością najczulszej matki. Czterech wioślarzy silnemi ramiony odrzucało bałwany tamujące bieg łodzi, a plusk wioseł i szum morza mieszał się ze śmiertelnem chrapaniem kobiety. Kapitan usiłował wlać jej jeszcze w usta dozę wina; połknęła je, chwilkę się uspokoiła, potem ręce znów przyciskała do piersi, a wzrok swój napoły zagasły wytężała wszelkiemi siłami, jak gdyby kogoś szukała. Usta jej poruszały się, chcąc wymówić wyrazy; znać wino działało kojąco; lecz kobieta spokoju nie miała, bo myśl jej i uczucie zwrócone były ku dziecięciu, którego nie czuła u swojej piersi.

Zrozumiał to kapitan i zawołał po angielsku:

— Jest, jest dziewczynka! Śpi... żyć będzie...

Kobieta patrzyła na niego osłupiałemi oczami, zdawało się, że słyszy, lecz nic nie rozumie.

Kapitan chcąc ją uspokoić, wziął na ręce śpiącą dziecinę i pokazał matce: po wyżółkłej twarzy kobiety przemknęło się podobne do uśmiechu skrzywienie, w oczach jej błysnęło życie, wyciągnęła dłonie, lecz zaraz je bezwładnie znowu opuściła. I znowu ozwało się w piersi chrapanie, przerywane strasznym jękiem.

Dziecię obudzone skrzywiło się do płaczu, nie miało jednak do niego siły; otworzyło spieczone usta i wybiegł z nich jakiś wyraz, lecz wyrazu tego, jak i wymawianych przez kobietę, nikt nie rozumiał; nawet nie rozumiał kapitan, chociaż władał dobrze kilkoma europejskiemi językami. Pytał też z kolei każdym znanym sobie językiem; kobieta wciąż odpowiadała, ale kapitan nic nie rozumiał.

Wreszcie zaniechał pytań, a chcąc uchronić od znużenia dziewczynkę, powtarzającą również jakieś wyrazy, wlał jej znów w usta wina. Dziecię zapadło w sen powtórnie. Kobieta tymczasem zerwała się nagle, siadła na posłaniu, wskazała na niewielką torebkę skórzaną, wiszącą u jej boku, wyciągnęła ręce w stronę śpiącej dziewczynki, chwyciła ręce kapitana i jęknąwszy raz jeszcze, na posłanie opadła... Oczy jej w słup stanęły, głowa całą siłą zagrzęzła wśród mat podesłanych i z piersi ostatnie uleciało tchnienie.

Wtem plusk dał się słyszeć, tuż obok płynących; inne łodzie mknęły w znacznej odległości, nie był to więc plusk wioseł. Kapitan spojrzał na ciemniejący punkt wśród bałwanów, zmarszczył brwi, bo padające promienie słońca nie pozwalały dokładnie dojrzeć, jakie łodziom groziło niebezpieczeństwo.

— Potwory zwęszyły świeżą dla siebie strawę; — odezwał się jeden z wioślarzy, spoglądając na zwłoki kobiety. Kapitan nie odpowiedział, tylko odciął torebkę skórzaną, będącą przy boku zmarłej.

— Wrzucić ciało? — zapytał wioślarz.

— Wstrzymajcie się; — odparł kapitan i wytężył wzrok w stronę, zkąd plusk dochodził.

Wśród lekko zbałwanionego morza, coraz wyraźniej rysowały się ludzkie postacie; nie były dalej jak dziesięć metrów.

— To Uery i Black! — zawołał z radością kapitan. — Zwolnić biegu — dodał — zabierzemy tych dzielnych chłopców.

— Morze pluć zaczyna, kto wie, czy sami zdążymy; — zrobił uwagę wioślarz.

— Zwolnić biegu i spuścić liny, gdy będą już blisko; — odpowiedział kapitan stanowczym głosem.

Wioślarze usłuchali, lecz utkwili wzrok w martwe ciało kobiety.

Kapitan zrozumiał to wejrzenie, zawahał się chwilkę; wtem bałwany grozić zaczęły a silny prąd wiatru zadął od wyspy złowrogo.

Łódź, podrzucana co chwila, była w niebezpieczeństwie.

Wioślarze patrzyli na kobietę i na towarzyszy, którzy znowu ukazali się na powierzchni, walcząc z bałwanami.

— Trzeba pozbyć się umarłych, aby ratować żywych; — rzekł kapitan i wskazał ciało kobiety.

W jednej chwili, ze zwykłą obojętnością ludzi przywykłych do stawania wobec śmierci, wioślarz zdjąwszy zwierzchnią odzież ze zmarłej, owinął w nią zwłoki i rzucił w morze, wołając:

— Niechaj cię woda utuli, gdy ci ziemi zabrakło!

W chwili, gdy wrzucano matkę, dziecię głęboko westchnęło, wyrwał się nawet jęk z jego piersi; twarzyczka wyrażała cierpienie a rączki niecierpliwie chwytały powietrze.

Skończywszy ze zmarłą, rzucono liny w morze; bałwan je zasłonił, mimo to Black i Uery dojrzeli ratunek, a wioślarze wciągnęli towarzyszy do łodzi. Kapitan upewniwszy się o ich życiu, zajął się maleńką sierotą; uspokajał jej krzyki i wlewał w usta po kropli ożywczego wina. Uery uczuwszy dno łodzi, parsknął tylko jak koń, a otrząsnąwszy się z wody, wyjął z zanadrza butelkę, przytknął ją do ust i pił chciwie; potem oddał Blackowi, mówiąc:

— Brr! mało na dwóch, lecz dobrzy koledzy muszą się podzielić!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA ŚNIEGU.

Bielą się pola, oj bielą,
Zasnęły krzewy i zioła
Pod miękką śniegu pościelą...
Biała pustynia dokoła. —

Gdzie była łączka zielona,
Gdzie gaj rozkoszny brzozowy,
Drzew obnażone ramiona
Sterczą zpod zaspy śniegowej.

Opadła weselna szata,
Zniknęły wiosenne czary,
Wiatr gałązkami pomiata,
Zgrzytają suche konary.

Tylko świerk zawsze ponury,
W tym samym żałobnym stroju,
Wśród obumarłej natury
Modli się pełen spokoju.

Więc drzewa obdarte z liści,
Na jego ciemną koronę
Patrzą się okiem zawiści,
Głowami trzęsą zdziwione...

Próżno głowami nie trzęście,
Wy nagie, bezlistne gaje!
Przemija rozkosz i szczęście,
Boleść niezmienną zostaje.

Adam Asnyk.

OBRAZ ŚW. HIERONIMA.

W Krakowie w Sukienicach przeznaczone jest pierwsze piętro na rozkosz oka ludzkiego. Szereg wielkich i wspaniałych sal mieści w sobie setki obrazów t. z. sztuk pięknych i pamiątek narodowych. Gdy się wejdzie na piętro, na prawo jest wchód do nieustającej wystawy krakowskiego Towarzystwa Sztuk pięknych; a na lewo do Muzeum Narodowego. Tu mieszczą się prześliczne obrazy Matejki, między innemi sławny obraz »Kościuszko pod Racławicami«; tu w osobnych pokojach pozbierane są pamiątki po Mickiewiczu i Kościuszce. W pierwszą niedzielę każdego miesiąca jest wstęp do Muzeum Narodowego w Sukiennicach bezpłatny.

Muzeum zbiera także stare obrazy polskich malarzy, czy też mające wogóle jaki związek z przeszłością polską. Z tego-to zbioru podajemy dziś rycinę obrazu św. Hieronima, malowanego w roku 1526 przez niemieckiego malarza Hansa Dürera, który przybył do Krakowa zwabiony blaskiem królewskiego

dworu, Zygmunta Starego, sławnego króla polskiego i kilka obrazów po sobie w Krakowie pozostawił.

Święty Hieronim, doktor Kościoła św. był Słowianinem. Urodził się w r. 346 w słowiańskiem mieście Stridonie (dziś Strigawa), na pograniczu Dalmacyi, na pomorzu morza adryatyckiego. Syn bogatych i znakomitych rodziców, odebrał wyższe wykształcenie w Rzymie, gdzie niepospolitą odznaczał się pilnością. Nie był jeszcze ochrzczony, bo w owych czasach dużo jeszcze było pogan w ówczesnem cesarstwie rzymskiem. Hieronim ciekaw był nauki chrześcijańskiej, a gdy mu się spodobała i sercem do niej przylgnął, zażądał od kapłanów, żeby go przygotowywali do przyjęcia chrztu św. Takich kandydatów do chrztu, uczących się dopiero katechizmu, nazy-



Św. Hieronim (podług H. Dürera).

wano katechumenami. Jako katechumen nie miał prawa znajdować się na zgromadzeniach chrześcijan. Wszelako kierowany pobożnością, odwiedzał często katakumby, czyli groby męczenników w podziemiach Rzymu i ożywiał się świętym zapałem, rozpamiętywając życie tych, którzy krwią własną dali świadectwo prawdzie.

Dla dalszego wydoskonalenia się, odbywał Hieronim podróże i zwiedził różne kraje w trzech częściach świata: w Europie, Azyi i Afryce. Ochrzciwszy się zajaśniał wkrótce świątobliwością. W r. 374 obrał sobie mieszkanie na pustyni w Chalcis, żeby mu nic nie przeszkadzało zgłębiać pismo św. Wśród milczącej pustyni i samotności, niepokoiły go wspomnienia dawnych rozrywek, ponętne obrazy cisnęły się do jego umysłu i wtedy dopiero znikały, gdy łzami zalany rzucał się do stóp Ukrzyżowanego. Przy modlitwach, umartwieniach i nauce używał także ręcznej pracy do zwalczenia złych myśli. Po czterech latach takiego skupienia ducha, przyjął święcenia kapłańskie.

Kilka lat spędził w Konstantynopolu, gdzie uczył się w księgach greckich. Zasłynął z uczoności, toteż papież wezwał go na sobór zwołany do Rzymu w r. 381. Papież używał go najchętniej do pisania listów apostolskich. Czytywali też razem biblię, a papież słuchał z przyjemnością wykładu jej przez uczonego doktora. Na żądanie Ojca św. zabrał się Hieronim do tłumaczenia pisma św. z języka greckiego na łaciński. W r. 385 pojechał do Betleem, gdzie umarł w r. 420. Zwłoki jego spoczywały najpierw w Betleem obok ruin jego klasztoru, później przewieziono je do Rzymu

WINCENTY POL O MOWIE LUDOWEJ NA ŚLĄZKU.

Często można słyszeć lub czytać mylne i nieprzychylne zdania o mowie ludu ślązkiego. Zwyczajnie owi krytycy, mianowicie jeżeli się zaliczają do narodowości niemieckiej, nie znają dostatecznie ani języka piśmiennego, ani gwar ludowych, aby byli w stanie poznać ich różnice i ocenić je według sprawiedliwości. Dla tego bez wszelkich dowodów powtarzają ciągle kilka ogólnych frazesów, które może uchwycili jako niewczesne żarciki. Takie zdania powierzchowne i subjektywne nie mają żadnej wartości, ale są bardzo niebezpieczne, ponieważ rozpowszechnione przez gazety lub dzieła popularne o Ślązku, popierają dążności antipolskie. Przecież powszechnie wiadomo, że kulturnicy chcąc niby usprawiedliwić germanizowanie Górnoślązaków, tendencyjnie wskazują na ich język, który ma być okropnie ubogą i zepsutą gwarą, albo jak się niektórzy wyrażają: »polsko-niemiecko-czeską mieszaniną.« Przeciw takiemu niegodziwemu postępowaniu trzeba nie tylko protestować, ale też zbijać owe przesądy i prostować mylne zdania. Pisma polskie, mianowicie wychodzące na Ślązku, powinny częściej zwracać uwagę na to, co prawdziwi znawcy języka mówili lub pisali o właściwościach, piękności i obfitości mowy ludowej na Ślązku, którą tylko niedoucy mogli przezwać »wasserpolską.«

Między uczonymi, którzy stanęli w obronie mowy górnośląskiej, jedno z najpierwszych miejsc zajmuje Wincenty Pol, sławny autor »Pieśni o ziemi naszej«, profesor geografii przy uniwersytecie Jagiellońskim i członek wielu towarzystw uczonych. Mało z pewnością jest mężów, którzyby tak doskonale znali i tak szczerze kochali lud polski i jego mowę, jak Wincenty Pol (urodz. 1807 w Lublinie, umarł 1873 w Krakowie). W roku 1868 miał Pol w »Towarzystwie Naukowem Krakowskiem« kilka odczytów o »dyalektach mowy polskiej«,

które później zostały w osobnej książce umieszczone. (Historyczny Obszar Polski. Kraków 1869.) Tam wypowiedział trafne i pochlebne zapatrywania o języku ludowym na Ślązku, z których tutaj przynajmniej kilka zdań według możności dosłownie chcemy podać.

Wincenty Pol rozróżnia w mowie całego narodu polskiego 7 dyalektów, chociaż »różnice, jakie zachodzą pomiędzy jednym a drugim, są bardzo nieznaczne.« Dyalekta mowy polskiej staną jako całość organiczna jeszcze żywiej, jeżeli obok nich porównawczo postawimy dyalekta i gwary, z których inne powstały języki, jak np. język włoski, niemiecki, francuzki (str. 73).

Według zdania Pola pierwszym i najpoważniejszym, ponieważ najwięcej zachował form starożytnych, jest tak zwany dyalekt chrobacki czyli ślązki, który jest rozpowszechniony nad górną częścią Odry i Wisły, nad Skawą i Rabą aż do Dunajca. »Na tej zakreślonej przestrzeni znajdą się w mowie trzy odcienie znaczniejsze, mianowicie właściwy chrobacki (góralski, podhalski), ślązki i krakowski (str. 17). Dopiero za Wieliczką, Bochnią i Sączem zaczyna się dyalekt małopolski z odcieniem sanockim, sandomirskim i lubelskim, który najwięcej przybliża się do języka piśmiennego.

Jeżeli chodzi o piękność i bogactwo języka, to z pewnością poeta, który tak ślicznymi utworami zbogacił piśmiennictwo polskie, pierwszą jest powagą. Oto, co pisze Wincenty Pol o mowie ludu z okolicy Gliwic i Opola (na str. 18): »Myśli i uczucia wyrażają się tu bardzo prosto w starożytnych formach... Wszystkie brzmienia są tutaj jeszcze pełne, jasność mowy wielka, bogactwo pojęć nieprzebrane; nie ma ani przewlekania w intonacyi, ani zbytnich skróceń lub elizyj (opuszczeń); przedostatnia zgłoska jest tu zawsze długą, i ani nosowe, ani miękkie, ani twarde zgłoski nie mają tu przewagi, i owszem jest tu najwyższa równowaga brzmień. Ucho i śpiewna gardziel trzymana jest na równi; wszystko co się mówi, jest słyszanem; wszystko co się słyszy, wymówionem«... Rody nad górną Odrą i Wisłą osiadłe »stoją najwyżej pod względem cywilizacyi miejscowej«... »mają wielką przyszłość«, bo większa u nich niezawisłość, zaradność i skłonność do nauki, przemysłu i rolnictwa postępowego.

Ponieważ germanizatorzy koniecznie żądają, żeby nauka religii, modlitwy i kazania były po niemiecku, ponieważ według ich zdania Górnoślązacy mają nie rozumieć czystej polszczyzny, albo nie mieć w swoim dyalekcie odpowiednich wyrazów, gdy chodzi o rzeczy religijne, dla tego opuszczając ustępy o granicach pojedyńczych narzeczy, przyłączam tutaj obszernie słowa Wincentego Pola o używaniu dyalektu ślązkiego w rozprawach religijnych (strona 19): »Wielka ewangeliczna prostota i apostolska gorliwość została w tej mowie świętego Jacka medalowo odbita; jakoż z zapasu tego ducha czerpali pierwsi tłumacze Pisma św. swe zasoby i wyrazili w nich głębokie przekonania prawd ewangelii. Bez różnicy wyznania nawet jest dyalekt chrobacki (górnoślązki) skarbnicą kościelnego języka, i w całej mowie rodów osiadłych na górnej Wiśle i na górnej Odrze i w dolinie Odry pozostał ślad, że ten dyalekt wydał język kościelny, który w księgach Starego i Nowego Testamentu streszczony, powrócił nazad do ludu i żyje w jego uściech cało.«

»Człowiek mówi tu w poważnej rozmowie okresami Pisma św., nie wiedząc nawet o tem; boleścią psalmu żali się niewiasta w ucisku duszy. Kazania tak katolickich, jak dyssydenckich kaznodziei przypominają wymową swoją złote czasy kościelnej wymowy u nas. Ani w myślach, ani w mowie nie znajdziesz tu nowatorstwa, i myśl i wyrażenie jest tu z całej sztuki wzięte, cało przechowane w pierwotnych pojęciach kościoła, w pierwotnej czystości religijnego ducha. Rzekłbyś, że to język umarły, gdyby nim cała żywa nie mówiła i nie czuła rzesza, gdyby tym językiem nie opowiadano aż dotąd słowa bożego, gdyby nie był język ten językiem serca i modlitwy.«

Po tych słowach pełnych zapału przedstawił poeta przed 30 laty krótko, ale trafnie skutki germanizacyi; przewidywał jak »dwujęzyczna rzesza« na targu w zniemczonem miasteczku, mówi łamaną niemczyzną i klnie, gdy się z niemcem zetrze, »ale skoro rogatki miasteczka pominie, rozpoczyna rozmowy i śpiewy w mowie polskiej; do domu wróciwszy, mówi tylko po polsku z żoną, dziećmi i domownikami.«

»Na ten fakt zwracam uwagę, Ślązk odpadł od czasu Kazimierza Wielkiego od Polski, ale plemiennie i językowo jest dyalekt chrobacki (górnoślązki) wielką macierzą najstarożytniejszego, bo kościelnego języka. Kto w domu i w kościele mówi po polsku z bliźnim i z Bogiem, Polakiem jest!

Te uwagi niech będą odpowiedzią na tak wysławiane zniemczenie Ślązka, jak się na niego pod względem mowy i ducha polskiego zapatrywać należy.« (Str. 21).

BAŻANTY.

Jest kilka gatunków tych ptaków. W Europie żyją z nich trzy: bażant złocisty, srebrny i zwyczajny.

B a ż a n t z ł o c i s t y (Phasianus pictus) dla pięknego swego upierzenia bywa utrzymywany w zamkniętych kurnikach zamożnych właścicieli. W otwartych parkach i zwierzyńcach, pomimo, że dobrze znosi nawet dosyć ostre zimy, nie można go trzymać, ponieważ świetne jego upierzenie zdradza go przed drapieżnymi ptakami. Długie, jedwabiste, lśniąco żółte pióra na czole tworzą ruchomy czub, spadający w tył, pióra na tyle głowy, świetnej pomarańczowej barwy z czarnemi poprzecznemi pręgami, nastawiają się jak kołnierz.

Szyja jest złocisto-zielona, pióra na grzbiecie żółte, takież pokrywy ogona, z karmazynowymi brzegami. Skrzydła na brunatnem tle są czerwono nakrapiane, ogon żółto czarny, a spód ciała jasno-szkarłatny. Dziób i nogi są żółtawe. Ptak ma około 80 centymetrów długości, sam ogon 60 centymetrów. Pochodzi on z Chin i dawno już był sprowadzony do Europy, jako ptak ozdobny, ale kiedy mianowicie, nie wiadomo. Ojciec Lactantius, który przebywał w Konstantynopolu, jako nauczyciel syna Konstantyna W., już go dokładnie opisał. Wogóle panuje zdanie, że jest to ten sam ptak, którego Herodot i Plinius opisywali pod nazwą »Feniksa.«

Podobnież nie wiadomo, kiedy do Europy sprowadzony, jako ptak ozdobny, B a ż a n t s r e b r n y (Phasianus nycthemerus). Grzbiet tego ptaka, skrzydła i ogon są białe z drobnymi czarnymi prążkami, środkowe pióra w ogonie całkiem białe, a to zdaleka widoczne ubarwienie nie pozwala utrzymywać go w parkach. Czub, przód szyi i spód ciała są granatowe, nagie policzki i nogi czerwone, dziób niebieskawo-biały. Pochodzi także z Chin, gdzie oddawna już jest oswojony.

Większe ma znaczenie B a ż a n t z w y c z a j n y (Phasianus colchicus), a dawniej więcej był upowszechnionym niż teraz, gdyż bażantarnie, utrzymywane dawniej z wielkiem staraniem, obecnie są znacznie uszczuplone. Dobrze urządzona bażantarnia jest rzeczą bardzo kosztowną, i na tę rozrywkę pozwolić sobie mogą tylko ludzie wielkiej zamożności. Więcej znajduje się na pół dzikich bażantarni, w których bażanty pozostawione są samym sobie, chociaż zawsze otaczane troskliwą opieką, a w zimie zaopatrywane w pożywienie. Wprawdzie nie tak świetnie upierzony, jak wyżej opisane pokrewne mu gatunki, bażant ten jednak jest pięknym ptakiem. Wszystkie jaśniejsze pióra świecą metalicznym od-

blaskiem, złociste czerwone i fioletowe, ciemniejsze, niebiesko-zielone i purpurowe. Brunatne pióra są na grzbiecie upstrzone żółtawo-białemi, ciemno obrzeżonemi, klinowatemi pręgami: na głowie, na piersiach i na bokach brzegi piór



BAŻANTY.

są ciemno-błękitne; ogon jest oliwkowo-brunatny, z ciemno brunatnemi poprzecznemi pręgami; wszystkie pióra w ogonie mają czerwono-brunatne brzegi. Na tyle głowy znajdują się kępki piór, podnoszące się nakształt małych rożków; lecz ptak wtedy je tylko podnosi, gdy nagle ujrzy coś podejrzanego, tak że niejeden myśliwy nie ma nawet pojęcia o tej ptaka ozdobie. W końcu marca kogut zbiera dokoła siebie sześć lub więcej kur, zwołując je właściwym głosem (tokowaniem), a ta gra trwa aż do maja. W tej porze jest on bardzo wojowniczo usposobiony, i często współzawodnicy staczają z sobą zacięte walki.

Gniazdo samicy jest zawsze bardzo starannie ukryte w zielsku i zawiera do

piętnastu jaj; liczbę tę jednak można podwoić, podbierając jaja i pozostawiając za każdym razem dwa lub trzy w gnieździe. Podebrane jaja trzeba podłożyć do wysiadywania indyczce, a wylęgłe młode pielęgnować w domu, co jednak nie jest łatwą rzeczą i wymaga wielkiej umiejętności. Po 25 dniach wylęgają się młode, które kura przez kilka pierwszych nocy starannie pod skrzydłami ogrzewa, a potem troskliwie wodzi aż do jesieni, chociaż już przedtem są zdolne samodzielne pędzić życie. Za pierwszem odezwaniem się matki przypadają do ziemi i leżą kamieniem, dopóki niebezpieczeństwo nie minie. Nawet już dorosłe postępują tak samo, gdyż bażant jest nadzwyczaj bojaźliwym ptakiem, tracącym ze strachu przytomność, czego powodem może być ich głupota. Nagle przestraszony bażant biega dokoła zamiast wznieść się do góry i usiąść na drzewie, a stąd łatwą staje się zdobyczą lisa. Właściwą ojczyzną bażanta jest zachodnia Azya i południowo-wschodnia Europa, od Czarnego morza aż do granic Chin, ku południowi aż do Persyi; ku północy zaś tam, gdzie ziemia na zimę nie zamarza. W tych miejscowościach żyje bażant jako ptak leśny w lasach liściastych, przetkniętych jednak drzewami iglastemi, gęsto podszytych krzewami i jagodami; bieżąca woda powinna znajdować się w pobliżu. We dnie chodzi po ziemi i rzadko wzlatuje na drzewa, na noc wszakże zawsze obiera siedlisko na grubych gałęziach. Łatwo go wtedy ubić. Mięso jego jest bardzo smaczne i stanowi najwytworniejsze pieczyste. Podług podania, Grecy w wyprawie Argonautów znaleźli tego ptaka nad rzeką Phasis w Kolchidzie i przywieźli go do Europy. Od nich dowiedzieli się o nim Rzymianie i rozpowszechnili go dalej.

POKREWIEŃSTWA.

Pokrewni są ci, którzy od jednej osoby ród swój wiodą, powinowaci zaś są krewni męża względem krewnych żony i odwrotnie. W jakim stopniu zachodzi pokrewieństwo jednego z małżonków, w tymże stopniu jest dla drugiego powinowactwem. Polacy mieli zwyczaj rozpamiętywać najdalsze pokrewieństwa rodzinne, a starsze niewiasty przekazywały młodszym pokoleniom całe kroniki swoich rodzin, okolic i województw. Pochodziło to nie z próżności, ale z obyczaju narodowego, w którym wszystka szlachta uważała się za jedną rodzinę. Stąd u Polaków najpierwszy był tytuł: bracie, później mówiono: panie bracie, a wreszcie: mości panie bracie. Piotr Skarga w »Żywotach świętych« pisze, iż »w polskim języku bracią zowiemy w trzeciem i czwartem pokoleniu i jakiejkolwiek powinowate«. W prawie polskiem, którego główną podstawą były stare zwyczaje narodu, charakterystyczną stanowi cechę pewna solidarność i łączność rodowa, nawet w dalszych stopniach pokrewieństwa. Majątek np. sprzedany w obce ręce, krewni sprzedawcy mieli prawo odkupić, co wydawało się nader dziwnem dla cudzoziemców. Teraz przejdźmy do nazw członków rodziny i rodu. W prastarym obyczaju polsko-słowiańskim nie dawano posagu czyli wiana za dziewką, ale młodzian nabywał córkę u rodziców, był więc zwyczaj porywania dziewcząt, jako najtańszy sposób zdobycia żony*). Że zaś na oznaczeniu słowa gonić, zająć, było w dawnej polszczyznie słowo żonąć, żenić, stąd powstały wyrazy: żona, ożenić, żonaty. Ten co »przyżenił« sobie żonę czyli zjął, zajął ją rodzicom, i

*) Obyczaj porywania sobie żon przetrwał w Polsce przyjęcie wiary chrześcijańskiej i musiał się wydarzać jeszcze w wieku 13 i 14, skoro ówczesne prawa krajowe surowo zabraniają żenienia się w sposób podobny. W obrzędach zaś weselnych ludu polskiego, ślady tego obyczaju przetrwały do naszych czasów.

od wyrazów tych nazywał się zięciem. Przyprowadzona do domu synowa, jako młoda niewiasta, dostawała nazwę niewiastki, niewiestki lub sneszki. Wyraz małżeństwo ma pochodzenie dość jasne, gdy zważymy, że oznacza on jednożeństwo (t. j. mało-żeństwo) w porównaniu z powszechnym dawniej u pogan obyczajem wielożeństwa. Uformować się on musiał w dobie, kiedy naród przechodził z pogańskiego zwyczaju do chrześcijańskiego mało-żeństwa. Ojciec nazywa się w mowie staropolskiej: ociec, rodzic, tata, t. j. tak, jak dotąd lud polski wymawia i używa tych wyrazów. Wyraz ociec sięga prastarych czasów; wyrazu rodzic lud używa, gdy chce wyrazić poważanie. Wyraz tata, używany przez dzieci, jako najłatwiejszy, jest również dawny, bo już Bielski w wieku 16 pisze: »Święty Wojciech założywszy klasztor, dał mu imię po słowiańsku tata, bo tak Słowacy zwali św. Wojciecha jako ojca«*). Ojczym jest wtórym mężem matki czyjej. Ojczyc i ojcowie ma kilka znaczeń w języku staropolskim, oznacza najprzód syna z prawego łoża, potem rodaka, ziomka, rodowitego syna swojej ziemi, dalej doradcę i miłośnika ojczyzny. Takim np. był Jan Łaski (nr. 1456, zm. 1531), o którym Stryjkowski wyraził się: »umarł Jan Łaski, prawy ojczyc ojczyzny«. Ojczycem lub ojcowicem zwano każdego pana z panów, familianta, wreszcie tak nazywano poddanych ojcowskich, na miejscu urodzonych, a prawo dawne stanowiło, że »pojmańców (jeńców) wojennych dzieci, uważani są za ojczyców czyli poddanych«. Majątek po ojcu zwał się ojcowizną i ojczyzną, po matce macierzyzną. Syna jedynaka nazywano »jednorodzonym«, adoptowanego »przysposobionym« lub »przyjętym«. Trzymany do chrztu jest chrzestnym czyli chrześniakiem. Synowie koronni, oznaczało ziemian z Korony. Rodzice nazywali córki swoje w mowie potocznej dziewkami, dziewuszkami. Dzieci żony od pierwszego jej męża, lub dzieci męża z pierwszej jego żony zowią się pasierbami. Nazwy pasierb i pasierbica mają może źródłosłów z przekształcenia tego, że byli przedbraćmi i przed siostrami powtórnemi, albo też odnoszą się do innego językowego źródła, którego już dziś dociec trudno. Ojciec ojca lub matki zowie się dziadkiem, matka ojca lub matki babką. Tych rodzice są pradziadami i prababkami. Majątek po dziadku zowie się »dziadkowizną«, po babce »babizną«. Dzieci syna lub córki są wnuczętami. W dawnej polszczyźnie nie mówiono wnuk ale wnęk, a o rodzaju żeńskim nie mówiono wnuk ani wnuczka, ale wnęka i wnęczka. Dopiero gdy przy codziennych stosunkach i mięszaniu się z Rusią, mowa polska straciła dużo pierwotnej czystości i dawnego bogactwa dźwięków, wnęki i wnęczki zaczęto nazywać wnukami i wnuczkami. Atoli jeszcze w końcu 16 wieku Szczerbicz pisze: »dzieci rodzonych braci i sióstr, t. j. synowców i siostrzeńców też wnękami zowią«. Syn brata zowie się bratankiem, córka brata, bratanką lub bratanicą. Syn siostry — siostrzeńcem, siestrzankiem, córka siostry — siostrzenicą, siestrzanką. Wyraz szwagier, szwagierka, jest czysto niemieckim (Schwager, Schwäher). Dawni Polacy nazywali zawsze brata mężowskiego dziewierzem, a siostrę mężową żołwicą, żełwicą lub świeścią. Mączyński, słownikarz 16 wieku, powiada: »Żełw abo żełwica, też niewiastką niektórzy zowią, t. j. mężowa siostra«. Szymonowicz w sielankach późniéj pisze:

Żołwice i bratanki, u jednego stołu,
I świekry i niewiestki jadają pospołu.

Żona brata czyli bratowa zwała się jątrew, jątrewka, a nazwy tej pisarze polscy używali do połowy 17 wieku. Siostra matczyna lub ojcowa zowie się ciotką; jeżeli rodzona, zowie się ciotką rodzoną, w przeciwnym zaś razie jest ciotką wujeczną lub stryjeczną. Dzieci po dwóch siostrach rodzonych są sobie rodzonocioteczni, jeżeli zaś babki były siostrami. są przecioteczni. Rodzony brat matki

*) Z nastaniem wiary chrześcijańskiej potworzyły się wyrazy: ojciec święty, ojciec chrzesny, a ze wzrostem gospodarstw »ojciec czeladny« czyli gospodarz domowy, ojciec i dozórca czeladki.

jest wujem, żona jego wujenką czyli wujną, syn bratem, córka siostrą rodzonowujeczną. Brat babki nazywa się stary wuj, dziadek lub przedwieć. Brat ojca stryja była jednak stryjenką lub stryjną, a dzieci po rodzonym stryju, rodzonostryjecznemi. Brat dziadka zwał się starym stryjem albo przestryjcem, wnuk



WŚRÓD BURZY.

jest stryjem, stryjkiem. W dawnej polszczyźnie skracano stryjek na stryk, mówiono więc pospolicie: stryk, wieś Stryków, kronikarz Maciej Strykowski. Żona jego był bratem stryjeczno-stryjecznym, czyli przedstryjecznym. Syna i córkę brata stryjecznego zwano stryjecznym synem i stryjeczną córką. Wogóle stry-

jów i braci stryjecznych i przedstryjecznych zwano stryjcami. Nosili oni ten sam herb i uważani byli zawsze za blizką i wspólną rodzinę. Prawo polskie dawało im większe uprawnienia niż krewnym u innych narodów, tak, że sprzedaże i zapisy majątkowe czyniono zwykle za wiedzą i zezwoleniem stryjców herbowych. W mowie potocznej było pospolitem »wujanie i stryjanie«, a szczególniej to ostatnie, to jest: że młodsi nazywali starszych swoich dobrych znajomych: stryjku, co u ludu daje się słyszeć dotąd*). Ojciec żony zowie się teść, a matka teściowa lub teścia, dawniej cieść i cieścia. W jednej z pieśni ludowych dotąd w niektórych okolicach śpiewają: «I wyszła doń stara cieść«. Mączyński w swoim słowniku z r. 1564 tak objaśnia: »Cieść to jest żony mojej ojciec, niektórzy świekrem zowią, ale niewłaściwie, bo świekier jest mężów ojciec, którego zowią po łacinie socer«. Stryjkowski znów pisze: »Obesłał bracią swoją i ćcia albo cieścia, ojca żony swojej«. Widzimy z tego, że tak dawniej jak i dzisiaj, u ludu który tej nazwy w wielu stronach używa, świekier, świokier, świekra, świokra, świekrucha oznacza tylko rodziców męża, a teść i teścia rodziców żony. Nieraz jednak ludzie mięszali z sobą te obie nazwy, a sam Stryjkowski w innem miejscu wyraża się: »Boniak świekier albo cieść Swantopełka«. Jeżeli świekier pochodzi także z niemieckiego wyrazu Schwäher, to nic dziwnego, że znaczenie tego wyrazu w polskim języku mogło być tak i owak pojmowane, skoro nie było polskiem. Półbratem nazywano w dawnej polszczyźnie brata przyrodniego, półsiostrą siostrę przyrodnią, t. j. dzieci z jednej matki po dwóch ojcach, lub z jednego ojca po dwóch matkach.

*) Klonowicz pisze, że flisacy wiślani, wiatr nazywają stryjem a wronę ciotką. Lud wiejski nazywa dziś w wielu stronach ciotuchą febrę czyli zimnicę, a ciotami złe duchy, które mają nasyłać ludziom kołtuny lub myszy.

MIERNOŚĆ.

Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może nic nie dbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta i wysokie grody.

To pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem;
Kto więcej szuka, jawnie to znać daje
Sam na się, że mu jeszcze nie dostaje.

Siła posiadł włości,
Kto ujął chciwości;
Trudniej to przyjdzie niż Turki zhołdować,
Albo waleczne Tatary wojować.

Mocą wiele świata
Wziął za krótkie lata
Król macedoński; lecz mu się tak zdało,
Że nań samego świat był jeden mało.

Cóż pomoże zbroja,
Albo władza twoja?
Serca nie zleczą żadne złotogłowy,
Żadny skarb troski nie wybije z głowy.

Więc śmierć nieużyta
Tak za gardło chwyta
Bogate pany, jako proste sługi,
Ani zborguje, byś wyciągnął długi;

Lecz przedsię człowiecza
Wszystka o tem piecza,
Aby ku złotu złota przybywało;
Bo, by najwięcej łakomemu mało.

Wszystko to zostanie
Po twej śmierci panie!
A coś ty zebrał przez ten czas łakomie,
To się zastoi nie wiem w czyim domie.

Sklep ten niedobyty
Puści prędko nity;
A winem, co się ty frasujesz o nie,
Będzie zamaczał potomek twój konie.

Jan Kochanowski.

POŚWIĘCENIE.

W najgorszych dniach rewolucyi francuzkiej poświęcenie i bohaterska stałość kapłanów katolickich, którzy tajemnie wiernym Sakramentów św. udzielali, ukazała się w najpiękniejszem świetle. Można powiedzieć, że prześladowania i niebezpieczeństwo, grożące szczególnie kapłanom, czyniły ich stalszymi i do poświęceń tem więcej gotowymi.

Pewien kapłan wybrał sobie na pole działanie stołeczne miasto prowincyi Forez, gdzie prześladowanie było najokrutniejsze. Żołnierz, który mężnie w bitwie się potyka, zyskuje pochwałę i podziw; zowią go bohaterem. Jakiem mianem nazwać takiego kapłana, który wśród nieprzyjaciół srogich, co dzień, co godzinę naraża życie swoje na śmierć nie dla marnej chwały lub zysku, lecz z miłości Boga i bliźniego? Czyż on nie większym bohaterem od najwięcej bohaterskiego żołnierza?

Z czynów owego kapłana, opowiadają następujące zdarzenie:

Pewnego dnia przybył do domu, w którym się ksiądz ukrywał, posłaniec i rzekł:

— Pewna niewiasta bliską jest śmierci. Niewiasta ta pobożna życzy sobie z całego serca, aby mogła się wyspowiadać i przyjąć komunię św. przed śmiercią.

Kapłan wypytawszy się, gdzie owa chora mieszka, odpowiedział:

— Przyjdę za chwilę.

Zaledwie jednak pierwszy posłaniec wyszedł, wbiegł inny do izby i zawołał:

— Czy nie wołano księdza do pewnej chorej niewiasty? Niech ksiądz nie idzie, bo to jest zasadzka. Nasi okrutnicy dowiedzieli się, że owa niewiasta jest chora i postanowili z tego skorzystać, ażeby księdza, który jej ostatnich Sakramentów św. udzieli, pochwycić i umęczyć. Niech ksiądz nie idzie! Gdyby się ksiądz w ręce nieprzyjaciół krwiożerczych dostał, śmierć pewna, śmierć haniebna na rusztowaniu, bez sądu.

Kapłan usłyszawszy te słowa, padł zaraz na kolana i zamknąwszy oczy, krótką chwilę wytrwał na modlitwie. Szukał utwierdzenia u Pana Jezusa.

Gdy powstał, twarz miał spokojną i spokojnym głosem rzekł:

— Dobry pasterz daje życie za owieczki swoje. Zawołano mnie, więc pójdę, Bogu pod opiekę się oddawszy.

Ponieważ słońce jeszcze nie zaszło, czekał kapłan, aż się to stanie, bo w mroku czuł się bezpiecznym. W tym czasie wdział na siebie szaty chłopskie, w tem przebraniu bowiem łatwiej mu było dostać się do chorej.

Wyszedłszy z domu, spojrzał bacznie dokoła, czy kogo podejrzanego nie zauważy, a nie spostrzegłszy niczego, ruszył żwawym krokiem. Im dalej szedł, tem bardziej się uspokajał i myślał sobie, że może wiadomość o zasadzce była nieprawdziwa. Przyjaciele dobrzy, trwożąc się o jego życie, uwierzyli zapewnie pogłosce.

Podczas całej drogi nie zobaczył nic takiego, coby mu się podejrzanem wydawało.

— Bogu dzięki, — szepnął, otwierając furtkę na podwórze przy domu, w którym chora mieszkała.

Zaledwie jednak kilka kroków naprzód postąpił, gdy nagle otoczyło go kilku ludzi z krzykiem i hałasem.

— Teraz cię mamy nędzny i niegodziwy człowieku! Jużeśmy dawno na ciebie czatowali, lecz zawsze zdołałeś uciec przed nami. Teraz jednak już ci się to nie uda!

— Najlepiej go zaraz zastrzelić, — wołali jedni.

— Nie, — odpowiedzieli inni, — niech mu jutro głowę utną na rusztowaniu. Zdrajcy ojczyzny niech mają przykład odstraszający, jak prawdziwi miłośnicy ojczyzny karzą zdradę.

Inni wciąż tylko lżyli kapłana i klęli straszliwie na niego i na wszystkich księży.

Podczas tego kapłan milczał i ofiarował Bogu życie swoje w ofierze. Gdy nakoniec napastnicy umilkli, tak się do nich odezwał:

— Przyjaciele, nie jestem zdrajcą, ani niegodziwcem, za jakiego mnie macie. Nigdy nie uczyniłem nic wrogiego względem ojczyzny i rządu. Całe moje działanie w tem się mieści, że chorym spieszę z pomocą, aby ich w cierpieniach pocieszyć i na spokojną śmierć przygotować. Widzicie przecie, że i teraz idę zawołany do chorej niewiasty, w tym domu mieszkającej. Proszę was tylko o jednę łaskę: Pozwólcie mi ową chorą na śmierć zaopatrzyć, a potem róbcie zemną, co chcecie.

Takie słowa musiały wzruszyć i najtwardsze serce. Rzeczywiście też napastnicy zgodzili się na to, o co ich prosił.

— Wejdź do domu, — zawołał jeden z nich, — ale nie myśl o ucieczce, bo ci się to nie uda.

Kapłan wszedł do izby, w której chora leżała. Izba miała okno wychodzące na ogród. Możeby można uciec tą drogą? Lecz księdzu ani w głowie taka myśl; nie myśli w tej chwili o sobie, lecz o duszy chorej niewiasty, pragnącej pojednania się z Bogiem.

— Ach, jakżem nieszczęśliwa! — mówi chora ze łzami. — Jam przyczyną, że księdza chwycili. Lecz cóż miałam począć, skoro dusza moja pragnęła i potrzebowała pomocy na drogę wieczności. Niech się ksiądz nie boi. Modliłam się gorąco do Matki Boskiej, ażeby was, czcigodny ojcze swoją opieką otoczyć raczyła. Wierzę silnie, że prożba moja zostanie wysłuchaną.

Ksiądz usiadł przy łóżku i zaczął słuchać spowiedzi chorej. Lecz niedługo otwarły się z trzaskiem drzwi i dzika zgraja napastników ukazała się na progu; widocznie obawiali się, aby im ksiądz nie uciekł.

Spokój kapłana jednak, pełniącego bez trwogi swój obowiązek, wywarł na nich wrażenie. Cofnęli się z izby i zamknąwszy drzwi, czekali w sieni.

Gdy nakoniec spowiedź się skończyła, i kapłan komunii św. chorej udzielił, otworzył sam drzwi i rzekł:

— Teraz oddaję się w wasze ręce. Wypełniłem mój obowiązek, róbcie zemną, co chcecie. Ciało moje możecie zabić, dusza jednak jest w ręku Boga.

Ale cóż to? Nikt z napastników nie rusza się, nikt nie grozi, nie chwyta kapłana! Wszyscy stoją, oczy ku ziemi spuściwszy, zawstydzeni i pokorni, jak barankowie, gdy przed chwilą podobni byli krwi spragnionym zwierzętom.

A dowódzca ich? To syn tej umierającej niewiasty, który zamiast matce o pociechę się postarać, zasadzkę na życie tego uczynił, kto był pocieszycielem matki jego w ostatnich godzinach życia.

Długo serce jego było twarde, jak skała. Lecz teraz łaska Boska wzruszyła je i skruszyła. Pada na kolana przed kapłanem i prosi o przebaczenie.

Ach, jakiż wzrok, pełen dziękczynienia, jakież westchnienie, pełne podziwu, posyła kapłan ku Niebu! Tyle dusz nawrócić z złej drogi na drogę wiary i miłości chrześciańskiej!

— Dzięki ci Boże! — woła kapłan i klęka. Wszyscy klękają i modlą się, a chora łkając z wzruszenia szepce:

— Synu… odbierz moje błogosławieństwo. Umieram spokojnie, bo widzę ciebie nawróconego….



DOBRE KSIĄŻKI.

Dzieje Ślązka, napisane przez dr. Felixa Konecznego, wychodzą zeszytami po trzy arkusze druku. Dotąd wyszły trzy zeszyty i obejmują historyę Ślązka aż do Kazimierza Wielkiego. Wiadomo, w jak ścisłej łączności pozostawał Ślązk w pierwszych czasach historycznych z Polską. Historya Ślązka z tych czasów przeto jest historyą Polski.

Dzieje Ślązka są napisane pięknym i barwnym językiem, a opierają się na najnowszych badaniach historycznych. Co w nich napisano, jest rzeczywistą historyą, a nie legendą lub bajką. Każdy, kto kocha ojczyste sprawy, z przyjemnością »Dzieje« przeczyta.

Trzy zeszyty, które dotąd wyszły z druku, zawierają 30 bardzo pięknych obrazków historycznych. Przytaczamy tylko wizerunki królów podług rysunków Jana Matejki.

Dalsze zeszyty wychodzą co miesiąc. Będzie ich rarem dziesięć.

Polecamy to dzieło czytelnikom »Światła« i jesteśmy pewni, że nikt nie pożałuje, kto je nabędzie.

Za nadesłaniem 1 marki w znaczkach przesyła Wydawnictwo »Katolika« w Bytomiu (Beuthen O.-S.) trzy pierwsze zeszyty »Dziejów« franko. Kto chce, może za całe dzieło od razu zapłacić 3 m., za przesyłkę wszystkich zeszytów 50 fen.

ROZMAITOŚCI.

* **Godzinki,** nazwa polska nabożeństwa na cześć Niepokalanego Poczęcia Najś. Maryi Panny w kształcie pacierzy kapłańskich, czyli godzin kanonicznych ułożonego. Że od tamtych daleko krótsze, więc tylko godzinkami zdrobniale nazwane zostało. Jutrznia, pryma, tercya, seksta, nona, nieszpory i kompleta, stanowią 7 części godzinek, po wszystkiem polecenie godzinek i antyfona z modlitwą. Kto te godzinki ułożył, w którym kraju i języku, na pewno nie wiadomo. Do Polski przybyły w wieku 16, król Zygmunt III codziennie je odprawiał, dwory ziemian i obozy rycerskie brzmiały niemi, więc i dla ludu ks. Jakób Wujek, jezuita, na język ojczysty z łaciny je przełożył, dobrze oddawszy śpiewem pięknym i poważnym. Baśń ludowa niesie, że znany czarnoksiężnik Twardowski, porwany przez czarta, winien ocalenie swoje Godzinkom, gdy ofiarując się zaśpiewał: »Z pokłonem Panno święta«... Nadmienić tu można, że już Długosz, opisując bohaterskie wyprawy Bolesława Krzywoustego w roku 1105, powiada, że Bolesław przed bitwą odprawił *officium Sanctae Mariae,* co przetłumaczono na polskie w wydaniu Przezdzieckiego: »Godzinki do Najświętszej Panny«, bowiem miał do Niej nabożeństwo.

* **Odszczekiwanie pod ławą** było karą za potwarz. Podług starożytnego zwyczaju prawnego i statutu małopolskiego, oszczerca przekonany o kłamstwo, musiał pod ławą odwołanie uczynić. Długosz opowiada o Gniewoszu z Dalewic, podkomorzym krakowskim, który podszepnął królowi Jagielle o mniemanych miłostkach królowej Jadwigi z Wilhelmem austryackim, że po uznaniu królowej za niewinną, sąd rycerski w Wiślicy kazał Gniewoszowi albo stawać do boju z rycerzami, którzy go wyzwali na rękę, albo odszczekać potwarz pod ławą. Statut litewski stanowi karę odszczekiwania na tego, ktoby zarzucił drugiemu bękarctwo a udowodnić tego nie mógł. Skazany musiał w izbie sądowej, wobec sądu i osoby spotwarzonej, skurczywszy się we dwoje, wleść pod ławę i zawołać »zełgałem jako pies«, a potem trzy razy zaszczekać.

* **Pręgierz,** słup stojący zwykle przed ratuszem dawnych miast polskich, pod którym kat ścinał głowy skazanych na śmierć i smagano przestępców. Do słupa tego przywiązywano oszustów dla pokazania ich ludowi i winowajców skazanych na hańbę publiczną, na piętnowanie lub »wyświecenie« czyli wygnanie z miasta (tak nazwane dla tego, że pachołkowie miejscy wyprowadzali ich za bramy miasta ze światłem.) Pręgierz był najczęściej używany w stolicy królewskiej, gdzie znaczna ludność, stek awanturników i oszustów, nareszcie surowość artykułów marszałkowskich były powodem, iż w sądach marszałkowskich zapadały częste wyroki na chłostę. W mniejszych miastach były pręgierze drewniane, w większych kamienne, czasem miewały ozdobę na wierzchu, n. p. w Poznaniu rycerza z mieczem.

FRASZKI.

* **Jako jeden drugiemu odpowiedział.** Gdy jeden chcąc się od drugiego większym pokazać frantem, tak mu przyciął:

— Sto razybym cię na dzień mógł przedać.

— A ja — odpowie drugi, — ani razu przedaćbym cię nie mógł, gdyż niktby za ciebie i złamanego szeląga dać nie chciał.

* **Parobek, który grochu nie chciał jeść.** Pewien wybredny parobek siedząc nad misą pełną grochu, przewróciwszy łyżkę wklęsłością do dołu, tak jął mówić do grochu:

— Jeśli się będziesz na łyżkę brał, to cię będę jadł.

Groch rzeczywiście na odwróconą łyżkę brać się nie chciał. Gospodarz to uważał, ale nie mówił nic. Zdarzyło się jednak potem w lat parę, gdy rok był nieurodzajny, że ten sam parobek, który się już ożenił i osiadł na własnej gospodarce i chleba mu nie stało na przednówku, przyszedł do swego dawnego gospodarza prosić o wspomożenie. Kmieć otworzył mu śpichlerz, w którego jednym kącie leżało żyto, w drugim jęczmień, w trzecim gryka, a w czwartym groch.

— Może grochu ci potrzeba? — zapytał gospodarz.

— Oj, przydałby się, przydał — odpowie biedaczysko.

— Więc daj wór i trzymaj.

To mówiąc, wziął szuflę i trzymając tak samo na opak, czyli dnem do góry, mówi do grochu:

— Jeśli się będziesz brał, to cię będę sypał.

— Panie gospodarzu, odwróć waćpan szuflę, to się zaraz groch weźmie.

— A pamiętasz mój bratku, jakeś u mnie gardził tym grochem, odwracając łyżkę nad misą.

Parobek dalejże za nogi gospodarza, przeprasza go ze łzami i wyznaje, że zgrzeszył, gardząc darem bożym, a poczciwy kmieć dawszy pożyteczną naukę, przebaczył mu i nasypał w cztery wory: żyta, jęczmienia, gryki i grochu.

* **O skąpej kumie.** Było sobie dwóch kumów, jeden biedny ale gościnny, drugi bogaty ale sknera. Bogaty nieraz odwiedzał ubogiego, bo ten choć wiele nie miał, ale zawsze nakarmił i napoił sąsiada. Razu pewnego, gdy żona bogatego ujrzała, że przyszedł odwiedzić ich kum ubogi, a na stole zastawiona była wieczerza, schowała czemprędzej pieczoną gęś na piec, kiełbasę pod żarna, pierog pod pierzynę a dzban ze śmietaną pod łóżko i sama umknęła do komory, mówiąc, że niedomaga. Gość, który niechcący wysłuchał wszystkiego za drzwiami, wszedłszy do świetlicy, opowiada:

— Ach! mój kochany kumie, jakem szedł do was przez zarośla, wysunął się do mnie taki gad, jak ta kiełbasa pod żarnami, i zaczął na mnie sykać jak ten gęsior na piecu, ale jakem pochwycił taki kamień jak ten dzban ze śmietaną pod łóżkiem i uderzyłem gada, to się rozpłaszczył jak ten placek pod pierzyną.

Gospodarz rad nie rad musiał powyciągać to wszystko na stół i zasiadł z gościem do wieczerzy, a gospodyni udając chorą w komorze, połykała jeno ślinę, słuchając jak kumowie zmiatali wszystko z półmisków z apetytem.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Lekarstwo na chrypkę i ból gardła.** Te przykre dolegliwości, tak częste w obecnej porze, można usunąć za pomocą gorącego okładu z rozgotowanych na miazgę cebul, przyłożonego na gardło. Ocukrzony sok z cebul jest dobrem lekarstwem na kaszel.

— **Śledzie świeże** nie solone, tak zwane »zielone«, obmyć dobrze, oskrobać, wybrać zupełnie czysto, trochę osolić i jak poleżą ze 2 godziny, wytrzeć dobrze, aby suche były, powalać w mące i upiec na gorącem maśle. Sos do nich robi się w następujący sposób: Cokolwiek piwa, octu, wody i soli dobiera się tak, aby trochę ostre było, włożyć liść bobkowy, trochę korzeni, zagotować raz, ostudzić; letnie wlać na śledzie i gdy kilka dni postoją, podać z kartoflami.

— **Kit domowy do przytwierdzania obluzowanych rezerwoarów w lampach naftowych.** Rezerwoary szklanne, obluzowują się często lub zupełnie wypadają z odpowiedniego w lampach umieszczenia. Ażeby uniknąć ambarasu odnoszenia lamp do blacharzy lub lampiarzy podajemy następujący sposób:

Mocno rozgrzać na blaszanej łyżce kawałek ałunu i powstały ztąd płyn wlać w otwór podstawy, natychmiast umieścić rezerwoar i mocno przycisnąć, ponieważ płyn z ałunu nadzwyczaj prędko twardnieje.

2-gi sposób: Kawałek gipsu wypalonego utłuc i rozmięszać z rozpuszczonym jak wyżej ałunem i tę rozrzedzoną mięszaninę użyć jak poprzednio.

Gry dla starszych i młodzieży.

Wół ma rogi.

Jedna osoba uderzając dwoma palcami w stół, mówi: W ó ł m a r o g i, k r o w a m a r o g i, b a r a n m a r o g i. Uczestnicy tej zabawy, siedząc dokoła stołu, powinni ten sam ruch palcami dokonywać, ilekroć twierdzenie jest prawdziwem. Kto zaś uczyni to i wtedy gdy nie jest prawdziwem, np. gdy mówiący powie: k o ń m a r o g i, p t a k m a r o g i i t. p., ten daje fant. Jest więc zabawa dobra z tego względu, że uczy przytomności i rozwagi.

ZAGADKI.

1. Bez czego chłop z lasu nie przyjedzie?
2. Przędzie długą nić,
   A na wrzecionie nie ma nic.
3. Jak mnie nie ma, to mnie żądają,
   A jak jestem, przedemną uciekają.

REBUS.



Rozwiązanie zagadek z Nr. 2:

1) 36 jabłoni, 12 grusz. — 2) Kołodzieje.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.